

Leśny jeździec.

Wpis poświęcony kolejnej próbie integracji ze zwierzętami.

Pokonywanie Wieczniewolnego Lasu trwało kilka godzin. Spuszczona ze smyczy Screw pędziła jak szalona pomiędzy krzakami, próbując wylapać jak najwięcej zapachów. Najbardziej zaskoczyła mnie jej umiejętność skakania na wysokie pólki skalne oraz powalone pniaki, a także obszczekiwanie każdego możliwego zagrożenia. Niestety byłem całkowicie podatny na jej wyczucie orientacji, ponieważ cały czas spędziłem na kurczowym trzymaniu się jej grzywy. Wolałem być ciągniętym w nieznanym kierunku niż zjedzonym przez rosiczkę w samym środku nieprzeniknionej gęstwiny. Mówi się, że koty dobrze widzą w nocy, ale nawet moje naturalne atuty nijak się miały do ciemności dominującej w Wieczniewolnym Lesie.

Screw lubiła sobie pobiegać - wnioskowałem po pokonaniu niezliczonej ilości kilometrów i kilku krótkich postojach. Przez większość czasu zachowywała się tak, jakby nie zdawała sobie sprawy z mojej obecności. Pierwszą godzinę spędziłem przywiązany do jej grzywy, zaś torbę z ciastkami zacieśniłem ogonem. Potem zorientowała się, że wiezie ze sobą słodkości, których do tej pory nie zjadła. W mgnieniu oka zrzuciła mnie z grzbietu, aby tylko uszczuplić zapas smakołyków. Przy okazji ofiarą padła również mapa, będąca jedynym wyznacznikiem naszego położenia. Widząc moją zatroskaną twarz, Screw postanowiła mnie wylizać od stóp do głów. Zagubiony, przemoczony byłem całkowicie zdany na jej łaskę.

I tak właśnie minęło kilka godzin. Niemierzalna zwyczajnymi środkami energia w końcu się wyczerpała. Screw, wciąż z nosem przy ziemi, kręciła się w pobliżu kamiennej ściany wyrastającej ponad najwyższe korony drzew. Zmęczona klacz, czy tam suka (doprawdy nie wiem, jakiego określenia używać), była wtedy znacznie bardziej posłuszna. Okazało się, że w zakładzie psychiatrycznym nauczyli jej kilku prostych komend, takich jak siad czy waruj. Należyta wiedzę w tym zakresie miałem z "Equestrii dla opornych", która na dobre zagościła w kieszonce wojskowej kamizelki. Później udało mi się zawiązać na niej lejce i łaskawie pozwoliła się prowadzić. Niestety, nie wiedziałem, dokąd powinienem się udać, żeby dostać właściwe informacje.

Kiedy na niebie księżyc zaczął ustępować słońcu, krążyliśmy po obrzeżach lasu. Musieliśmy być bardzo daleko od Wsi Pony i tym bardziej uzdrowiska, ponieważ

pierwszy lepszy punkt widokowy ukazał łyse połacie pozbawione zróżnicowanej roślinności. Jakies pojedyncze kępki iglastych drzew, pola uprawne oraz samotne gospodarstwa okolicznych rolników. Posiłkując się książeczką, uznałem, że zaszliśmy bardzo daleko na północ. Być może dalej niż jama diamentowych psów.

Wróciliśmy do gęstwin. W końcu trafiliśmy na chatkę gdzieś pośród większego skupiska bagien. Mogliśmy kręcić się bez końca albo poprosić o poradę. Nie interesowało mnie, czy właściciel jest za słońcem, księżycem, a może Druhem Borygo. Niezależnie od możliwych konsekwencji, podjechałem bliżej i ściągnąłem lejce ze Screw. Klacz skoczyła do pobliskich krzaków, pozostawiając mnie przed drewnianymi drzwiami.

Sama chatka nie wyglądała na zbudowaną z tutejszych drzew. Ładnie wykonana, ceglana budowla o płytkowym zadaszniu. Wyraźnie kontrastowała na tle dzikiej roślinności. W szklanych oknach o framudze z ciemnego drewna paliło się światło - znak rezydującego wewnątrz domownika.

Zebrawszy się na odwagę, zapukałem. Otworzyła mi młoda klacz, której jeszcze trochę brakowało do pełnoletności. Trudno mi ją było opisać, chcąc zachować zasady ogólnopojętej gramatyki. Nazwijmy ją adeptką sztuk magicznych o alabastrowym umaszczeniu i kontrastującą do sierści, szarą grzywą o fantazyjnych zawijaszach. Na zdobionej piegami twarzy gościł uśmiech oraz wielkie, zielone oczy. Na boku widniało posłane łóżko oraz lewitujące nad nimi litery "Z".

Widząc nietypowego przybysza, wpuściła mnie do środka i ugościła iście po królewsku (albo przynajmniej tak, jak sama potrafiła). Posadziwszy mnie przy stoliku, przyniosła łakocie oraz filiżanki marki Fillyżanka.

- To niezwykle mieć niezwykłych gości - mówiła co chwilę. - Zwłaszcza gadające koty!

- Cieszę się, że mogłem sprawić przyjemność - odpowiedziałem z wymuszonym uśmiechem.

Kiedy właścicielka krzątała się po mieszkaniu, miałem okazję przyjrzeć się dokładniej ugoszczonemu wnętrzu. Każda dekoracja i każdy mebel miały tutaj swoją rolę. Podejrzewałem, że na takim odosobnieniu zastanę wewnątrz rupieciarni po przejściu tornada. Na białych ścianach wisiały obrazy - typowe pejzaże gustujących w naturze artystów oraz rycina dwunożnego, puchatego potwora z kolcami na głowie, zamknięta w drewnianej oprawie. Na biurku obok stolika leżała świeża korespondencja oraz magiczne

czasopisma. Możliwe, że przy pomocy zaklęć utrzymywała kontakt ze światem zewnętrznym.

Z ciekawości sięgnąłem po jeden z liścików bez zgody właścicielki. Nawet nie zauważyła, że cokolwiek schowałem do kieszonki.

W tym miejscu szanowny czytelnik może się zastanawiać nad moją moralnością, lecz zawsze w takich przypadkach winien wiedzieć jedno - jestem na wojnie i wszelkie informacje na temat wroga są mi nader potrzebne. Biada tym, którzy pomagają nieznajomym w potrzebie, przynajmniej tak nas uczono w akademii na księżycu.

- To bardzo ciekawe miejsce - podsumowałem. - Spodziewałem się zastać, sam nie wiem...

- Harmider jak po przejściu tornada? - zapytała, postawiwszy na stole imbryk gorącej herbaty.

- Dokładnie.

- A wiesz, ja po prostu jestem leniwa z natury. Tak naprawdę ten domek należy do władz akademika. Studiuję na uczelni w Hoofington na wydziale magii transpotencjalnej, bardzo ciekawa nazwa, nie sądzisz?

Pokiwałem głową. Cokolwiek to miało znaczyć, zabrzmiało mądrze.

- W ramach zaliczenia semestru musiałam udać się do gąszczu w poszukiwaniu roślin do magicznych naparów, stymulujące fizykochemiczne właściwości obiektów poddawanych przemieszczeniu. Wspominałam, że jestem leniwym jednorożcem?

- Tak.

- No właśnie. Pomyślałam sobie, że nie będę się ceregielić na wyjazdy pociągami, wynajmowaniem domków letniskowych, kto by miał na to pieniądze, czas i ochotę, więc wałęsałam zaklęciem teleportującym w budynek i proszę! Jestem w Wieczniewolnym Lesie już od miesiąca!

- Czyli nie znasz dokładnie okolicy? - zapytałem zasmucony.

Klacz roześmiała się w odpowiedzi na pytanie.

- Przezorność nade wszystko! Od miesiąca utrzymuję zaklęcie geolokalizacyjne oraz barierę chroniącą przed naturalnymi szkodnikami tego lasu. Głupio byłoby się przenieść w sam środek puszczy bez możliwości powrotu.

- A wiesz może, jak się dostać do diamentowych psów? Bardzo mi zależy na kontakcie z nimi.

Adeptka była tak szczęśliwa z możliwości ugoszczenia kogokolwiek, że bez zbędnych pytań wykreśliła na karteczce najprostszą drogę prowadzącą do ich podziemnego królestwa. Poszło prościej, niż się spodziewałem, dlatego też, w podzięcie za pomoc, spędziłem kolejną godzinę na zwyczajnej rozmowie oraz delektowaniu się herbatą.

Klacz ponarzekała trochę na typowe nastoletnie problemy - na wyskakujący trądzik, brak zainteresowania u chłopców, wiecznie markotnych rodziców oraz przymus jedzenia dziennej dawki warzyw i owoców. Cóż, ja za nastolatka miałem trochę inne zmartwienia, jak przeżycie od pierwszego do pierwszego za nędzną pensję jako kasjer w McBigMac'sie i jeszcze gorszy żołądek. Kucyki w Equestrii miały prościej - niewyrabiające finansowo rodziny mogły liczyć na dodatkowe środki na utrzymanie albo darmowe studia. Oczywiście mogłem żyć bez pracy, jak przystało na typowego socjalistę, lecz obawa przed wstydem oraz publicznym zniesławieniem wynikającymi z pobierania zasiłku dla leni kłóciły się z moim wychowaniem.

Co ciekawe, klacz również narzekała na brak możliwości dyskusowania. Zalegająca korespondencja nie wypełniała pustki samotności. W dodatku jedyna, nadająca w tej okolicy radiostacja puszczała głupoty typu "Moda na kobyły". Mowa oczywiście o Radiu Claw. Adeptka powiedziała, że bardzo miło byłoby trafić na audycję, na której można by podzielić się swoimi problemami z innymi albo chociaż porozmawiać na ciekawe tematy.

Pouczający pobyt zakłócił pisk połączony z drapaniem w drzwi. Stęskniona Screw, zobaczywszy swojego nowego właściciela, rzecz jasna obdarowała mnie bukietem okolicznych zapachów oraz mokrymi liźnieniami.

- Pies podający się za kucyka! - zachwyciła się czarodziejka. - Tego jeszcze nie widziałam!

- Tak... Trzeba przyznać, że Screw jest jedyna w swoim rodzaju...

Suka potwierdziła radosnym szczeknięciem.

Kiedy nieco ochłonęła, założyłem jej lejce z powrotem i przygotowałem się do dalszej drogi. Klacz na odchodne dała mi trochę smakołyków dla Screw, które tym razem lepiej ukryłem. Wziąwszy do rąk mapę, poprowadziłem nas za wskazówkami. Kilka słów na pożegnanie znowu uczyniło z adepthki samotniczkę.

Po południu byłem na miejscu. Zmęczony, ale zadowolony, stałem u wejścia do jaskini. Musiałem być na miejscu, ponieważ Screw, jak do tej pory rozbawiona, teraz wyglądała na wyjątkowo ostrożną.

Zanim jednak rozpocząłem swoją misję, chciałem poszukać miejsca na nocleg. Kilkanaście metrów dalej natrafiliśmy na niewielkie wgłębienie, gdzie rozpalilem ognisko i wydzieliłem racje żywnościową na kolację. Suka niemal od razu schowała się w ciemniejszym kącie, zaś ja wykorzystałem wolną chwilę, aby spojrzeć na ukradzioną notatkę.

Okazało się, że podkradłem liścik z przepisem na nieziemską herbatkę od jej najbliższych przyjaciółek. Cóż - łatwo przyszło, łatwo poszło - pomyślałem, chowając kartkę papieru do kieszeni i przykrywając się prowizorycznym kocem z liści.